

BEREK

PIOTR WIELGUCKI
MATKA KURKA

BEREK

Copyright © by *Piotr Wielgucki*

Na okładce książki wykorzystano fotografię
Henryka Rossa (1910-1991).
Henryk Ross – born Poland 1910 – died Israel 1991
Courtesy, Art Gallery of Ontario, Canada
Anonymous Gift, 2007
©2013AGO9

ISBN:
978-83-61344-51-3
Projekt okładki:
Jarosław Kozikowski
Redakcja i korekta:
Edwin Kaniuk

Wydawca:
Wydawnictwo PROHIBITA
Paweł Tobała-Pertkiewicz
www.prohibita.pl
wydawnictwo@prohibita.pl
Tel: 22 424 37 36

Zamów książkę!
Tel. 22 424 37 36, wydawnictwo@prohibita.pl

Sprzedaż książki w Internecie:

multibook.pl

KSIEGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

*Ty sobie zapamiętaj!
Moja Babcia i mój Dziadek*

Część I – Narodziny

1

Jesienią roku 1941 we wsi Czyszki i w chałupie Gdulów żyło się więcej spokojnie niż latem, gdy przyszła druga wojna z Niemcami. Dwa lata będzie jak ruska nastąpiła niedola, ledwie miejscowe przywykły, a już przyszło żyć z nowym, niemieckim zmartwieniem. W czas wojen najgorsze czekanie, za którym idzie niepewne. Jak tylko kończy się zgadywanie co dalej będzie, wszystko jaśniejszym się zdaje. Czekać na wojnę – źle, gdy wojna nadejdzie – tyle dobrego, że wiadomo jak żyć. Wrogom nie stawać przed oczami, mało mówić między swymi, do obcych całkiem się nie odzywać. Czas był ciężki – wojna szła za wojną, śmierci poszukać łatwo, wszędzie złe słowa: „tam zabili, tu spalili”. Po co? – nie wiadomo. Czasem kto słyszał, czyje podpalone i kogo już między żywymi nie znajdzie. Zabijali zewsząd i wszystkie: Niemcy, Ruskie, bandy i partyzantka. Nie było gdzie uciekać i sam Pan Bóg nie wiedział przed kim się chować. Całkiem obcy przegonili złych sąsiadów i wiele pokazywało, że po niedobrych gorsi nastali. Niemcy, z natury akuratni, nie targowali się nad sztukami, brali jak swoje całe połacie z gromadami albo palili i mordowali bez wyjątku, gdzie dochodzić, kto winny, nazbyt wiele roboty kosztowało. Ku przestrodze płonąła wieś, aby inne znały w czym Niemcom szkodzić nie wolno. Gdy zawinił jeden – dziesięciu za niego oddawało życie, gdy nie posłuchało dziesięciu – cała wieś ginęła. Przez takie na oślepie mordowanie święty mieli spokój od wszelkiego nieposłuszeństwa.

Groźnie się zrobiło po świecie, cudem Czyszki wojna krajem obchodziła: raz, że nie było czego w tej biedzie szukać, dwa, że tutejsze uciekali od każdej trwogi: żołnierzy i partyzantki. Jaki by do wsi nie przyszedł,

z pustymi rękami nie chciał odchodzić. A czym się dzielić? Biedy nikomu do podziału nie potrzeba. Ludzie żyli schowani w chałupach, mało kto wiedział, w jakie imię silne zabijały słabych, tyle pewnego, że nic pewne nie jest. Początkiem bywało, że jedne przychodziły za obrońców, drugie za złodzieja, na koniec zewsząd brali, co w chałupie schowane. Każdy jeden, który nie ze wsi, za obcego był bandytę. Nic dla chłopa nie znaczyło, jakim sposobem z głodu zemrze: od grabieży wroga czy obrońców plądrowania. Z czasem biedę w Czyszkach tak rozdeło, że i wojnie nie chciało się tu zaglądać, nie było co grabić i do kogo strzelać. Zabić więcej sprawiało kłopotu, jak przynosiło pożytku. Dziwne były to losy. W samym środku pożogi jedna wieś na skraju stała i choć biednie to spokojnie żyła. W każdej chałupie wiedzieli, że gdzieś dalej po sąsiedzkich zagrodach biją, palą i grabią komu popadnie i gdzie złapią. Do miejscowych Pan Bóg śmierci nie dopuszczał, jak szła, to sama z siebie, zwyczajnie, w chorobie i ze starości.

Obejść w Czyszkach parędziesiąt, pośród nich chałupa Gdulów, inna niż wszystkie, najwięcej zadbana i gospodarna. W te czasy, między tutejszymi ludźmi i ze swoim strachem, po swojemu żyli, bywało, że na przekór. Gdzie ich chałupa, tam własne porządki. Nie podobało się ruskie i partyzanckie poniewieranie, za jeszcze gorsze mieli niemieckie mordowanie. Wiele zaszkodzić nie mogli, tyle się sprzeciwiali, że nie pomagali. Niemcy tym, co ich stronę trzymali, zezwalali żyć bezpiecznej, poniekądym z nędzy dawali wychodzić. Gdule bandytów nie głaskali i nie mieli poważania dla giętkich, co wrogom pomoc nieśli, tyle ich sprzeciwu, ale i od tego znośniej się robiło. Przez to się zdawało, że jak chcą, tak robią, a i drugie rzeczy bez strachów żyć pozwalały: dzieci nie było, bogactw żadnych poza ziemią i skromnym przychówkiem. Wiele nie tracili, za to zyskiwali miarkę godności i swobody, i nie takim to nazywali imieniem, bo szkoły żadne nie kończyło. Dla nich nie słowa ważne, sami dla siebie byli najważniejsi. Niemców Gdule nie uznawali najwięcej. Czym popadło dławili groźby, co szły za karabinami. Ile umieli, w poprzek stali, nie znaczy, że ważyli się na czyny, za które jedna czekała kara. Groźne dopiero miało nadejść, ale o tym jeszcze nic wiedzieć nie mogli.

Przed wojną Jan Gdula pracował we młynie. Tam zarobił, że jedzenia nie brakowało i jeszcze udało się trochę grosza odłożyć. Wiele nie wpadło, ale za uskładane kupili ziemię, której starczało dla dwojga; i więcej

by się wyżywiło, tylko Pan Bóg miał inne życzenie i dzieci nie ofiarował. Wśród biedoty podobne życie uchodziło za dostatnie, choć z dostatkiem mało co miało wspólne. Wszyscy w Czystkach szanowali Gdulów i to wiedzieli, że jak one chlebem się nie dzielą, nie ma za czym do innych chałup zachodzić. O takich rodzinach mówi się „dobre ludzie”. Zdarna rodzina, ze swoim pomysłem na skromne życie. Chłopskie małżeństwo, wszystko na miejscu na co dzień i przy niedzieli.

Gdula był chłopem odważnym, postępowym da się rzec, nie lękał się roboty i nie bał mechaniki, sam lubił dłużyć przy rozmaitych rzeczach, których tajemnice nie do końca pojmował. Mechanika zaprzętała mu głowę jak dziecku, co zajęte tym, jak zegarek ma w środku. Przez mechaniczne zainteresowanie we wsi uchodził za człowieka światłego i takiego, co się zna. Mężczyzna – nie można powiedzieć – malowany, za to wysoki, barczysty, silny i długi, mocny krok stawiał. Na twarzy pewny swego, za co by się nie brał – skończyć trzeba. Wszystko to razem mogło się podobać niejednej kobiecie. Już na pierwsze spojrzenie był za człowieka, na którym w każdej biedzie oprzeć się można. Ale nie taki znów dobrodziej, często powtarzał, że ludziom nie warto pomagać, bo szybciej sobie można zaszkodzić, lecz gdy znowu pomoc przyszło, jeden raz nie zdarzyło się odmówić. Jak mawiała Aniela, chłop musiał się nagadać swojego, potem robił za kolejną, jak potrzeba, wbrew temu co wcześniej narzekał. Proste i wiejskie lubił myślenie, nie przepadał za miejskim dziwactwem, nawet i porządków w chałupie robić nie znosił. Brudu nie chciał, tylko jakimś dziwnym rad sposobem stać się miała czystość, sama z siebie. Sprzątanie złościło Gdulę okrutnie, może dlatego, że czasu było mu szkoda na robotę, co z niej chleba nie ma, a może przez to, że gdy Aniela w chałupie zamiatała, przeganiała męża najdalej. Chciał czystości i sprzątania nie znosił – cały Jan.

Inną była Aniela, od dziecka czysta, dbała o siebie i w domu zalatana, nie w żadnej chałupie, tak nie zezwalała mówić. Smród, bród, nędza i wszy gęsiego w chałupie maszerują; u niej – w domu – był porządek. Z urody surowa, mocna charakterem, trzeźwa twarz kobiety, która bez niczyjej pomocy da sobie z życiem radę. Z pozoru chłodna, poważna, smutna nawet, ale kto znał Gduli żonę, ten wiedział, że żartowanie z przesmiewkami to jej codzienność. Obsmiewała, że dopiekało, gdyby kto inny gadał, niejeden czułby się zmarnowany. Aniela tak dopiekała, że nie

parzyło, tylko ciepłej się robiło. Przeciwnie do męża, tęskniła za wszystkim z miasta dobrodziejstwem. Wyglądała rzeczy przydatnych w domu, które zawsze chłopu wadziły. Dla Jana za technikę był rower i parowóz, żelazko albo woda w chałupie, to już cudactwo. Z różnego patrzenia na świat co rusz dochodziło do sprzecznych rozmów. Oczywiście mowy nie było w biednej chałupie żyć po miejsku bogato, ale samo głupie gadanie sprawiało, że Aniela kłóciła się z chłopem z samej przekory. Była za swoim w tym, co Jan uważał za niepotrzebne i o to najczęściej szły spory. Za to zgodna ze wszystkim w jednej słusznej sprawie, że od ludzi trzeba z daleka. Wiele razy odwodziła chłopą, gdy jedno mówił, drugie robił:

– Nie trącaj się, nie twoje sprawy, niech sobie robio, co tam zechco, swoje mamy zmartwienia – tak słyżał, gdy głośno myślał, jak odpowiedzieć temu czy innemu proszącemu pomocy lub rady.

Gdulowa nie ufała ludziom w słowach i w robieniu. Nie stroniła od sąsiadów, nie była zawzięta, ale przy swoim stała i z boku cudzego: „nie szła w kłopoty”. Bardzo roztropna, niekiedy nazbyt ostrożna, prawie bojaźliwa, szorstka w gadaniu z mężem, jednak on wiedział, że jak już coś postanowione, będzie z nim zgodna i zajmie się wszystkim, jak najlepiej potrafi. Pasowali do siebie, małżeństwo z miłości i rozumu, takie, które mogło rozmawiać i kłócić się o wszystko, byle zawsze razem, o to nigdy sporu być nie mogło. Jedno obok drugiego zawsze żyli, wspólnie pilnowali i troszczyli się o dom. Co potrzeba, rodzina miała, ile było, tyle starczyć musiało. Przed wojną żyli skromnie i spokojnie, nie martwili się o jutro. Nie gonili za bogactwem, uciekali przed biedą, tak żeby zawsze być pośrodku, bo z bogacza można płaszcz zedrzeć, a z biednego skórę. Dużo gorzej zrobiło się za Ruskiego, takich jak Gdulów nazywali kułakami i chcieli ziemię odebrać. Nie było jednak tak źle, żeby sobie nie radzić z kołchozem, ziemi pilnowali kułakami nieprzejęci. Gdy przyszli Niemcy i część Ukraińców poszła za nimi, naszła najgorsza bieda. Brakowało wszystkiego po trochu, najwięcej drzewa na zimę, to przeszkadzało i nie dawało spokoju. Szkodzili źli Niemcy i ludzie we wsi niedobre, swoje czy ukraińskie, bardziej złorzeczące niż życzliwe, od jednych i drugich Gdule stronili. Grzechem powiedzieć, że za takich samych mieli, prawdę powiedzieć, że tak samo pomijali. Z takimi przeszkodami jak Niemcy i ludzie żyć można, bez drzewa w zimę przetrwać trudno. Przyszło się mierzyć z nie lada zmartwieniem.

Gdy brali na siebie ważne zadania albo gotowali na jaką biedę, zwykle wieczorem po robocie długo rozmawiali. Często rzeczy były jasne: porąbać polana, uwiązać wiadro do studni, ale i tak gadali, taki mieli obyczaj, przemawiali każde zajęcie. Tym razem do obgadania rzecz poważna, trzeba do lasu pojechać i zabrać Niemcom drzewo. Nie kraść, tutejsze było, obcy Niemcy zaszli i nie swoje wzięli. Przed wojną Jan i Aniela nie powazyliby się na taki czyn, teraz nie mieli innej drogi i nawet wyjścia, w piecu musieli palić. Od czasu niemieckiej niewoli zapasy tajały, na nowe pieniądze zbrakło. Tylko Niemcom można drzewo odebrać i żadne w tym bohaterstwo, ale ratunek przed zimą. Po prawdzie tak było, że lasu gajowy pilnował i ten był swój. Niemcy drzewa nie strzegli, żołnierskie mieli zajęcia, ale wojna była i wszystko pod strachem się robiło, choćby nawet prawdą nie było, że Niemiec lasu pilnuje, tych się Gdule bały, nie gajowego. Leśny do sądu ciągał, Niemcom same wyroki przychodziły. Bogiem a prawdą żadnego we wsi nie ubili, ale i w tym pocieszenia mało. Głowa, gdy przestraszona, różne myśli podpowiada i niejedno zmyślone za prawdziwe się bierze. Jeszcze tej zimy pozostałym z dawnych lat palić się dało, ale oboje niespokojni byli, kiedy w domu brakowało, co być musiało. Sami nie wiedzieli, czy za podobne sięganie po tutejsze buki i brzozy zastrzelić mogli, czy tylko karali. I pewnie lepiej, że nie wiedzieli: przekonani o najwyższej karze, zaniechaliby koniecznej roboty. Rozmawiali jak trzeba, dłużej niż jeden wieczór, musieli długo rozmawiać, by czego głupiego nie zrobić, ale i kres słowom przyjść musi.

– Nie ma co wiency gadać, samemu pojedę i wszystko. Dwoje złapio, żadne drugiemu nie dopomoże. I Niemca kupisz, wredny, ale człowiek jak inne ludzie. Ja tam nie powiem, że za buka zastrzelo. Za partyzantkę, szpiegowanie i co gorsze jeszcze, nie za drzewo. Mordować i palić pod dostatkiem, z Ruskimi wojujo, nie ma kiedy do lasu latać – Jan powiedział, co dawno było wiadome, tylko przegadania wymagało.

– Może i prawda, zawsze lepiej, jak jedno w domu się zostanie. Raz, że Niemce, drugie, że i kto z wioski ogołoci, jak nie upilnujesz. Tak trza zrobić, tylko uważać musowo, mocno uważać. Mnie tam nikt nie powie, Niemce zabijo i za byle co, jak im się spodoba. – To samo od kilku dni powtarzała Aniela. Krótka rozmowa nie była świeżą poradą i nijaką nowiną dla obojga, co wieczór przypominali najważniejsze, aby wzajemnie w słusznym postanowieniu się wspierać.

– Tak, jutro z rana się pojedzie – oznajmił Jan chłopą głosem, że nie zostawiał wiele do sprzeciwu.

– Jutro? – Aniela po kobiecemu złąła się pośpiechu, miała nadzieję, że to nie ostatni wieczór jak planują i jutro znów sobie pogadają.

– Do dnia trza wstać, trza się kłaść, nie ma czego czekać, nic gadanie nie daje – Gdula sam czuł strach, ale bardziej bał się zwlekania niż postanowienia. Obmyślił dłużej nie męczyć siebie i Anieli.

– Jak tak, pora pod pierzynę, już pościeliła – żona też chciała mieć swoje małżeńskie słowo, choć nie tak ważne i niespodziewane jak ju-trzejsze zabieranie Niemcom drzewa.

2

Kończył się październik, miesiąc przyjazny w tym roku – ani chłodno, ani mokro, znośnie. Jesień przyszła ciepła i łagodnie trwała. Jan wstał na długo, nim słońce wzeszło, było przed piątą i za oknem ciemno, ale z tego żadna przeszkoda. Drogę do stajni znał na pamięć, tak samo do stodoły, wszystko, co miał zrobić, po omacku wiedział. Żadna sztuka kobyłę poprowadzić dla takiego gospodarza, który nie pierwszy raz przed świtem się zrywał, bywało, że w ziąb i sotę, nie tak jak dziś, choć nawet jeszcze słońce nie wstało. Baśka, posłuszne i poczciwe zwierzę, do tego nie bała się byle czego, szła ufnie, gdzie Jan prosił. Wdzięczna gospodarzom za dobre traktowanie nigdy krzywdy od nich nie zaznała, a przez las nie raz jeździła. Chwilę trwało, nim Gdula zaprzął, pozamykał za sobą, po czym ruszył w stronę lasu. Aniela do tych obrządków ręki nie dokładała, wcześniej obgadali, że takiej potrzeby nie ma, lepiej po cichu wyjechać. Tam, gdzie więcej ludzi, zaraz i hałasu niemało. Poza wszystkim żadnej pomocy nie potrzeba, bo i do czego.

Wóz jechał polną drogą prosto do drzewa, zbytnio nie skrzypiąc, ani Baśce trudu zadając, źle nie miała, droga sucha i ubita. Gdula rozglądał się po polach, czy wszystkie kawałki już przeorane. Czy kto zaniedbał chłopą obowiązeki? Martwił się każdym jednym ugorem, nie lubił marnotrawienia i bywało, że głośno do siebie mówił, jak ziemia skrzywdzona. Ostre powietrze szczypało nos, od czego zaraz czerwieniał, od wiatru łyzy

zaszły do oczu, pomimo tego że kobyła lekkim stępem, nie galopem, wóz ciągnęła. Nie przeszkadzało Janowi nic, bez powietrza żyć nie mógł, wszystko, co w nim pachniało i gwizdało, było potrzebne, przyjemne jak mało które. Nic nie zawadzały łyzy nachodzące i nos czerwony. Od lasu i pół wiało, najlepszy wiaterek trzeźwił ciężko zaspanych i całkiem pijanego postawił na nogi. O tym Jan dumał, a o pola oraniu całkiem zapomniał i z jakim jedzie zadaniem, ale i przez to szybciej na miejscu się znalazł, gdzie zaraz sobie co ważne przypomniał.

Do lasu wozem Gdula wjechał prędzej, niż planował; ucieszył się i do myślenia o drzewie przywrócił. Przed trudną robotą, jaka czekała, wolał, aby jeszcze ciemno było. Nie myślał przywieźć tyle ile potrzeba, wyprawa bardziej na próbę, czy nie daj Boże jakich Niemców w lesie nie spotka. Nawet nie wziął ze sobą piły, tylko siekiere, tak sobie miarkował, że z piły gorzej się tłumaczyć. Zawsze jakiś konar na leśną drogę spaść może, na to siekiera potrzebna. Szeroka przecinka, którą znał więcej niż dobrze, zezwalała spokojnie się porozglądać za takim drzewem, jakie by się nadawało, nie trzeba nawet z wozu schodzić. Jedziesz i wszystko widać, tylko szukać powalonego, najlepiej, żeby niezbyt grube i przynajmniej kilka miesięcy niesprzątnięte. Bywało, że gajowy z robotą się nie obrabiał albo kto inny chciał wywieźć i spłoszony zwalone zostawiał. Świeżo ścięte do pieca niezdatne odleżeć musi, dopiero przeschnięte ciepło daje. Takiej okazji wypatrywał Gdula, rozglądając się na obie strony podzielone przecinką.

Leśna droga już nie taka dobra jak polna, doły i nawet gdzieniegdzie woda pod cieniem stoi, rozrzucone suche gałęzie trzaskały pod kołami. Wszystko sprawiło, że wozem huśtało, skrzypienie kół echem odbijało się po lesie. Jan dużo uważał, jechał wolno, by losu nie kusić hałasem, mimo ostrożności nie bardzo mu szło. Prawdę gadają, że kto w ciszy zechce się schować, każdy szept zdaje się jemu krzykiem, może i dlatego Janowi bardziej głośno było, niż rzeczywiście słyszał. Trzaski spod kół wadziły, nie dały posłuchać, co się w lesie dzieje. Rozglądając się za drzewem nie najważniejsze zajęcie. Patrzyć czy kogo nie ma. Uważać czy kto nie idzie. Tego Jan pilnował najmocniej, odkąd wóz hałasował. Zmęczył się w końcu i przestraszył od samego słuchania, musiał odrobinę odsapnąć i strachy zagłuszyć. Skręcił w pierwszą poprzeczną dróżkę i zatrzymał kobyłę, zawinął lejce o kłonicę, oparł łokcie na kolanach. Szukanie

spoczynku niewiele dawało, gdy wozem stanął, każdy szmer się wciskał do uszu, każdy powiew wiatru, szum drzew i szelest krzaków. Za inne razy nie robiło żadnego przerażenia, zwyczajne lasu gadanie, za ten raz nie dawało spokoju, w głowie niemieckie straszło drzewo.

Siedział dłuższą chwilę i sam sobie przygadywał, że nic złego się nie dzieje, że tak zawsze było i tak być musi, taki jest las. Nie mógł pomiędzy drzewami truchleć, osobno dla niego cisza sama makiem się nie zasieje. Ile zdołał, tak sobie tłumaczył i bliski był już trzeźwego myślenia, gdy za bukami trzasnęło więcej jak przedtem. Przetoczyło się po grzbiecie, zajrzało pod czapkę, przez uszy trafiło do głowy i dalej rozeszło się po ciele. Nie szmerek się toczył i nie szum, ale łamanie gałęziami, wyraźne, jakby kto nogą napierał. Jan słyszał kroki: parę razy postąpiło, potem cicho i znów szemranie. Pewny był, że trzaska i szeleści, kroki musiały być, w lepszym razie sarny albo dzika, w najgorszym Niemca. Najgorszego zobaczyć strachał się najwięcej, a od lęku tracił myślenie i wszystkie moce do ruchu potrzebne. W pamięci przywrócić próbował, co sobie w domu obmyślił, jak będzie gadał, gdy złapią, ale na nic zdały się trudy. Nic nie pamiętał i w sile nie był się poruszyć. Skurczył grzbiet na wozie i sam nie poznawał, gdzie jest, co tu robi, zapomniał wszystko, jak kamień zastygły się zrobił. Pogubił się ze wszystkimi myślami, całkiem bezwładny czekał, co najgorsze przyjdzie.

W krzakach znów się poruszyło, nie krokiem po gałęzi, ale za to z innym chlupaniem, jakby kto nosem zaciągał. Jeszcze więcej Jana spięło i paraliżem zdzieliło, nie dzik to chodzi i nie sarna, ale wiele groźniejszy zwierz – człowiek. Zmysły potracił, wspomniął Anielę, przed kuchnią stała spłakana, wszystko w rozumie sobie pomieszał, nie mógł poskładać i najprostszego. Za czym Niemiec ma w krzakach siedzieć i nosem żałośnie pociągać? Przecież nie chłop Niemiec się lęka, ale chłop Niemca. Niezdolny był na jedną chwilę strach wstrzymać. Z głową na karku krótko do rozumu, ale nie rozum, tylko strach siedział pod czapką. Trzeci raz zatrzeszczało jakby głośniej i za wiele wszystkiego dla Jana się stało. Nikt nie wołał, o nic nie pytał, z samego trzaskania Gdula ręce podniósł do góry, poddał się, choć nie mógł wiedzieć komu. Zesztywniał na czas jakiś, w końcu ręce zemdlały i same opadły na kolana. Na tę jedną chwilę przyszło otrzeźwienie. Coś zaczęło do Jana dochodzić, nade wszystko, że dłuższą chwilę truchleje pod krzakiem i nikt z buczyny nie wyłazi.

Sarna i dzik dawno by się spłoszyły, zresztą Baśka dzika czuła i zaraz dawała znać po sobie.

– Niemiec w krzakach chował się nie będzie. Licho wie, co gdzie siedzi? – tyle pod strachem wymyślił. Starczyło, aby siły odzyskać i z miejsca się ruszyć. – Niech się dzieje, co ma być, trza wóz zawracać i do chałupy uciekać. Niech co chce, siedzi pod krzakiem, stać do wieczora nie idzie – przemyślał raz drugi. Odwiązał lejce i tylko pociągnął, nie dając klaczy żadnej komendy, ta wiedziała, jak iść. W lewą stronę wóz poszedł łukiem miejsce zrobić, na wąskiej drodze nie było pola na inne cofanie, trzeba najpierw w lewo, potem najmocniej jak się uda w prawo, między buki. Stamtąd nazad w brzozy po lewej i dopiero raz jeszcze całkiem na prawo. Tam buczyna pokazała się od drugiej strony... i żeby tyle... Odkryło się więcej, co nosem zaciąga i chlipie za gałęziami. Na taki widok nie wiedział Jan, czy odetchnąć ulgą niemałą, czy zdębieć więcej. Dziecko skulone siedziało, najwięcej dwanaście lat, chłopiec w przydługim płaszczu, w za dużych butach i mocno, prawie na oczy, zaciągnięty miał kaszkiet, jakby się w nim cały chował. Struchlały, jak Jan przed niedługim czasem, i tak samo niezdolny się ruszyć. Strach przykuł go do krzaków i tam zatrzymał. Widok całkiem niespodziany, ale od tego Jan w końcu odsapnął. W duchu podziękował Bogu i Anieli, że się na pewno za niego modliła, bo tu nie miejsce narzekać. Jeszcze przed chwilą żegnał się ze światem, czekając Niemca z karabinem, teraz spotkał więcej od siebie złąknionego, słabszego i niegroźnego. Czy niegroźny – miało się dopiero widzieć.

– Kto ty? Co za jeden? – pytał głośno, choć nie miał srogich zamiarów, nawet chciał być łagodny, dopiero jak powiedział, sam usłyszał, że krzyczy jak stójkowy albo i gorzej szorstko. Spytał jak starego, a tam przy buku skulony i splakany siedział nieborak. Pomyślał się poprawić i zaraz dodał: – Nie bój się nic, samem się złąkł. Nie bój się.

Gdula podszedł bliżej, chłopiec nie ruszył się na pierwsze słowa i drgnąć nie chciał na drugie, siedział przykurczony z głową pomiędzy ramionami. Tak dziecko oczy zatyka i myśli, że wszystkim robi się ciemno, przez to nikt jego nie znajdzie. Jan nie wiedział, jak z dziećmi się obchodzić, chłodnym był mężczyzną, rzadko pokazującym uczucia nawet tym, których kochał szczerze. Napotkał dla siebie biedę i nie umiał się odszukać, nie miał głowy, jak zagadać, by choć imię wydobyć i nie przstraszyć dzieciaka. Zostało próbować takim sposobem, jaki się znajdzie.

– Poblądził? Zgubił się? Co tobie je? Niemowa? Sierota? – postawił jeszcze jeden krok. – Głową kiwaj, jak gadać nie wiesz. Skąd ty tu? – pytał twardo i nic nie pomagało, żadnej odpowiedzi, nijakiej mowy, tylko milczenie z głową schowaną pomiędzy ramiona. – No, bracie, jak ty niemy i nieruchawy to ja ciebie samego zostawię. Widno podoba się tobie pod bukiem i ludzi nie potrzebujesz.

Nie na żarty słowa ruszyły chłopca. Przemógł strach może i nie tyle zmógł, jak zląkł się jeszcze więcej, że znów sam zostanie i będzie nie-mało gorzej. Na słowa Jana z miejsca podniósł głowę i pokazał się cały. Chuda twarz, brudne, łzami rozmazane policzki i proszenie pomocy, co w oczach miał napisane, a które prosto w Jana trafiło. Ratunku czekał, schronienia, ciepła, pewnie i jedzenia kilka dni nie widział, całą litanię Jan na twarzy znajdy przeczytał.

– Ludzke mowe poznajesz. Niech tobie bedzie, nie chcesz, nie mów, ale bodaj pokaż, co ja z tobą robić mam? Nie wiem kto ty, czyj ty? Gdzie twoja matka? Ojciec gdzie? Gdzie rodzina? Sam żeś jest? Kiwaj, co i jak – skończył przepytanie, a chłopak, chcąc zatrzymać przy sobie ratunek, skinął na ostatnie pytanie z góry do dołu. – Mówisz sam? Może i prawdę mówisz. Kto dziecko w lesie rzuca? Po reszcie i o to nie trudno. Podły czas i ludzie nie lepsze. Ale co mnie do ciebie, co ja tobie pomoc mogę? Akuratnie na mnie popaść musiało, ani ja żem się o ciebie modlił, ani żem twój wróg. Co ja mam z ciebie? – pochylił się nad nieszczęściem, lecz nie ważył się dotknąć, tylko stał przygięty, lepiej kiwanie chciał widzieć.

Słysząc było, że Gduli skotłowało myśli, szukał wyjścia z niedoli, której sobie całkiem nie życzył. Spadło na niego takie, że ze wszystkim nie był gotowy i teraz za pierwsze chciał uciekać od biedy. Dla Jana w krzakach siedziało strapienie, ale też wiedział, że nie może dziecka w lesie zostawić, choć już przeczuwał Anieli gadanie, żeby się nie pchać w kłopoty i nie wtrącać, gdzie cudze. Po dwóch stronach różne racje, tyle z tego zostaje, że jak się dobrze przyjrzeć, nie ma czego dumać. Za drzewem zziębnięty, przestraszony sierota szuka ratunku. Co by Aniela nie chciała, dziecka w potrzebie zostawić nie wolno. Pochylił się więcej i pomógł chłopakowi wstać. Gdula, chłopisko rosłe i niezgrabne, jednak podniósł tyle delikatnie, że dzieciak nie próbował się sprzeciwiać, ufnie dał sobie pomóc.

– No, pójdziem, co ma być, niech je. Sam się nie zostaniesz i wiency ja od ciebie nie wyszarpie. Zagrzejesz się, zjesz, strach pójdzie precz, to i mówę tobie wróci – pocieszyl spokojnie, jak na Jana to i delikatnie nawet, w każdym razie z troską w głosie. Chłopiec według przykazań wykonał polecenia z wdzięczności, ze zmęczenia, i też z nadzieją na ratunek. Wsiadł na wóz obok wybawiciela i dał się okryć płachtą, która wcześniej przykrywała siekierę. Gdula drzewa nie urąbał, nie dbał już nawet i o to, czy Niemcy przyjdą, tak był zajęty świeżym zmartwieniem i tak mu strach odtajał, że zupełnie utracił ostrożność. Wycofał wóz i pogonił kobyłę głośnym „wie!” Teraz jak najszybciej chciał zawieźć kłopot do domu, we dwoje prędeż da się zaradzić.

Na niebie i w lesie powoli zaczynało świtać. Buki z brzoźami parowały rosą, pomiędzy gałęzie przepuszczały słońce. Z rąbania nic, trzeba było się uporać z niespodziewanym strapieniem. Przez całą drogę myślał, jak się Anieli tłumaczyć będzie i co ona na wszystko powie. Żony się nie bał, on w domu rządził, ale uważał jej zdanie i na własny użytek miał takie przeświadczenie, że jak co powie, tak zwykle na jej wychodzi. Przez skórę czuł, że tego żona nie pochwali, żeby nie wojna, co innego, ale w taki czas przywozić do domu trzecią gębę do michy było głupim. Z grubsza podobnych słów się spodziewał, znał Anielę na wyrwki i wiedział, że takie jak wiezie, nie pójdzie mu na płasko. Baśka lepszym kłusem wracała, dawno takiego ruchu gospodarz nie zadawał. Całą drogę w milczeniu przejechali. Gdula miał pełną głowę, układał rozmówienie z żoną, zląkniony chłopak milczał jak wuczony, czekał, co go spotka. Na razie źle nie było, pomimo ciepłej jesieni nocą chłód dał się we znaki, teraz mógł się okryć i liczyć, że wkrótce coś zje, jak wcześniej słyszał. Chyba mocniej niż ziąb dokuczał pusty od kilku dni żołądek. Myślał Jan dobrze sprawę rozegrać, a o swoje martwił się znaleźć. Co go czeka od tego człowieka? Dokąd jedzie? Czy to ratunek, czy może przystanek w niedoli? Razem siedzieli na wozie i nic nie wiedzieli, jaka ich przywita najbliższa godzina, obaj odgadywali co dalej.

Ze dwa razy szybciej wóz wracał do domu, niż wcześniej toczył się w las. Jan nie dbał by cicho było, ani czy go kto zobaczy, nieostroźnie się śpieszył, prawie że bez głowy. Mało pomyślał i przez to źle robił. Starczyło, że nic nie urąbał, z samą siekierą jeździć żadna zbrodnia, a gdy na drogę wyjechał, czuł się już całkiem bezpieczny. Nawet i w lesie nie

przejmował się niczym, tylko tym jednym, żeby już pod stodołę zajechać. Zapomniał, że większe od drzewa wiezie niebezpieczeństwo. Słońce poszło w górę i wieś zbudziła się do swoich zajęć, ale po drodze nikogo nie spotkał, tak się Gdula zdawało – niewiele w tym pewności. Pół po żniwach zoranych też nie zobaczył, znaczyło, że nic nie widział i taki był przejęty drugimi sprawami. Coraz bliżej chałupy koła turkotały, aż w końcu z drogi dało się widzieć dym z komina, to Aniela w chałupie już się krzątała i ścigała domowe roboty.

3

Zajechali na podwórze, Gdula lżej oddychał, ale niczego pewny być nie mógł, tym się cieszył, że o jedno bliżej. Dobrze, że już nie w lesie, ale pod stodołą, reszta poskładać się musi.

– Siedź, pokąd wyprzęgnę, potem zajdziemy do chałupy – przekazał dobrą nowinę i ta z razu chłopaka ucieszyła, tęsknił za domem i nawet, jeśli nie jego był i niechby chałupa się nazywa, czuł się lepiej z tym, co usłyszał.

Zanim Gdula uporał się z wyprzęganiem, do stodoły przybiegła Aniela. Wypatrywała powrotu od chwili, gdy przez okno męża żegnała, teraz widziała, że na pusto, bez drzewa wraca i nie mogła zobaczyć, kogo jeszcze ze sobą przywiózł. Dopatrzyła, że sam nie jedzie i złąka się widoku nie na żarty. Przy stodole wszystko stało się jasne, znaczy tyle, że Jan z dzieckiem przyjechał. Po co? Dlaczego? Czyje? Nie umiała odgadnąć. Już język świerzbiał, ale widziała, że się chłop uwija, głową kręci, aby nic nie mówić, dlatego stała posłusznie. Nieruchomo czekała, aż się nadarzy sposobność rozplątać tajemnicę. Jak tylko Jan zaprowadził Baškę do stajni, chwycił za rękę chłopaka i we trzy szybkim marszem poszli do chałupy. Ledwie zamknęły się drzwi od sieni, już Aniela szykowała się do ciężkiej mowy, ale gospodarz nie dał możliwości, poprowadził gościa po chrześcijańsku do większej izby.

– Bier ty jego i sadzaj koło pieca. Zmarznięty i brudny ogromnie, trza by jego wymyć. Zachodź do kuchni, ja beczkę ze sieni przyniesie – dzięki rozporządzeniu Jan odwlókl żony gadanie.

Aniela popatrzyła na znajdę i bez słowa przyznała rację, za pierwsze trzeba myć, śmierdział i czarny był jak święta ziemia. Przy tym wszystkim zapomniała, co on w chałupie robi. Gdule byli nauczeni, że najpierw robota, potem gadanie. Przyzwyczajenie zaważyło, że żona posłusznie wykonała męża postanowione i poprowadziła znajdę do kuchni. Za chwilę do izby wrócił gospodarz z balią dużą na tyle, że i stary prawie się mieścił, dziecko mogło całe się schować.

– Dopiero rozpalila, godzina nie bedzie. Woda zimna, potrzebno czekać – wyjaśniła zawczasu.

Pierwsze słowa ucieszyły Gdulę, Aniela zajęła się chłopcem, nie próżnym rozprawianiem, ale za wczesnie Gdula się pozbył zmartwienia i zaraz karę dostał:

– Kogo ty sprowadził? Kto on je? Czego nic nie gada?! Czy ty zgłupiał, cudze dziecko do domu gnać?! Tera w lesie dzieci rosno? – nakrzyczała po swojemu. Jan zapłacił za pośpiech, z lepszej strony miał już za sobą najgorsze, bo pierwsze gadanie; w duchu przyznał, że wcale nie tak źle poszło.

– Takie czasy, dzieci w lesie rosno. Sam je, chyba że sierota. Mnie skąd wiedzieć? Nie gada, tyle że kiwa, co nakiwał, niby sam je. I ty by dziecka w lesie nie zostawiła – ostatnim słowem podzielił się kłopotem, co sam go znalazł, ale nie tak łatwo Anielę do spółki wciągnąć.

– Ty mnie do swego nie płątaj, do lasu jadę, drzewa szukam! Cudze do domu sprowadzać? Skąd ty znasz, że sam? Ze strachu i zimna jemu głowa lata. Bóg wie, co ty pytał i co on gdzie kiwał? – denerwowała się i nerwy rękami odpędzała, machała niemało, aż Jan pomyślał, że sierotę przestraszy. Głos żony krzyczał mocno i wiele, ale znał mąż Anielę w pół słowa i w pół grymasu. W tym głosie nie było złości, że chłop, co musiał, zrobił. Było krzyczenie, że nie byle jakie strapienie w domu zamieszka.

– Krzycz, krzycz! Takaś mądra?! Sama jęgo pytaj! Kto dziecko luzem zostawi? I Niemiec niektóry weźmie, a ty się drzesz, choć wiesz, że nie ma czego. Nie ma co myśleć, czego się nie wie. Trza robić, co się wie, że się należy zrobić.

Za odpowiedź usłyszała, że sama powinna sumienia pilnować, takie myślenie nie mogło się podobać i nie spodobało, chociaż wcale ładnie Jan swoje słowa pozbiarał.

– Filozuf! Już ja znam, za czym się drzyć! I ty znasz, ale głupiego strugasz. Pod kuchnio kładź, niech się woda grzeje. A ty bedziesz gadał,

coś za jeden, bo jak nie, sama do lasu powieze! – Kobieta krzyknęła i chłopak zaraz zwiesił głowę, po drodze patrząc w oczy Janowi, u niego szukał ratunku.

– Kogo nie bądź do lasu wozić nie trza, nie strasz jego, on i tak zaledwie stoi – znów się żonie od chłopca uzbierało.

– Głodny, temu ledwo stoi. Bierz miskę z mydłem, w sieni stoi. Po rencach i głowie jako bądź pochłapać się może. Kłaść trza na kuchnię, co z wczorajszego obiadu się zostało, chude to jak Jezusik – znów machnęła rękami. Powoli oswajała się z nowym, nie godziła się, ale wiedziała, że racja po męża stronie. Dziecko trzeba odratować, gdyby nie, Pan Bóg nie daruje.

– Barszcz i kartofle bedziesz jadł? – spytała bez nadziei, że co odpowie, chciała chociaż po twarzy poznać, co chłopak na to. Chude policzki i mokre oczy powiedziały bez namysłu, że jadł będzie wszystko, co się nada, byle żołądek zapełnić i takie że się nada, by zjadł. Pokiwał i zaraz zwiesił głowę. Jan wrócił z sieni, przyniósł co potrzeba, za szarym mydłem sięgnął i razem z miską postawił na stole.

– Tu chodź! Chlap się bodaj po wierzchu, zjesz co i potem na większe mycie się przyjdzie. Łachmany musowo zedrzeć, ale co dali robić? – wszystkie polecenia chłopiec wykonał natychmiast.

– Z łachami robić?! Spalić, wiency nic! Tego nie dopierze, a i prac nie ma co, Matke Boske się widać – Aniela odpowiedziała, jakby słowa wszem wobec kierowała, nie akuratnie do chłopca, tym bardziej do obcego dziecka.

Chłopak mył się szybko i dokładnie, widać sam tęsknił za czystością, chciał zrzucić z siebie smród, co nim przesiąkło obszarpane ubranie. Pewnie w tym pośpiechu, ale i dokładności, myślał o jedzeniu. Jak się dobrze i szybko wymyje, prędzej będzie mógł się najeść. Aniela przesunęła garnki z ziemniakami i barszczem w sam środek pieca, pod którym już się dobrze paliło. Pierwsze od kilku dni jedzenie grzało się na kuchni, a chłopak, co twarz obmywał, zerkał w tamtą stronę, gdzie parowało i pachniało. Gdulowa przywazyła wachanie, zaczęła więcej po garnkach zaglądać, choć od mieszania jeszcze nic się nikomu prędzej nie zagrzało. Bardziej chciała chłopcu pokazać, że już niedługo będzie, niż garczkom pomóc. Skończyło się mycie, wytarł twarz, po czym poskładał i odwiesił na ławie białe, do prześcieradła podobne płótno. Bardzo się to spodobało Anieli, zobaczyła, że do czystości jest taki jak ona, trzyma porządek.

Teraz Jan zrobił, co do niego należało, chwycił miskę i poszedł przez sień, by przed chałupą brudną wylać wodę. Takie nieczystości, co z mycia się brały, zwykle za progiem wylewano i nawet czysta gospodyni z tej przyczyny krzyku nie podnosiła. W końcu w garnkach zaczęło silniej parować barszczem i skwierczeć omaszczonymi słoniną kartoflami. Nie całkiem się wszystko przygrzało, jednak gospodyni obmyśliła, że lepiej niech dzieciak letnie je, jak ma się męczyć czekaniem na gorące.

– No, siadaj do dużego stoła, zera dostaniesz – nawet nie popatrzyła na chłopaka, ale po chwili obróciła się, żeby sprawdzić, co zrobił. Czy wie, co duży stół? Skoro nie gadał, może całkiem głupi? Usiadł posłusznie, ucieszył Anielę, że nie taki niemota wcale. Żywo nałożyła jedzenia do misek – osobno barszcz, osobno kartofle – tak, jak zawsze z Janem jedli. Postawiła michy przed głodnym i szybko się spostrzegła, że nie przyniosła łyżki. Doniosła, co potrzebne, usiadła przy stole, przy którym i Jan już miejsce zajął. Oboje siedzieli na ławie, od ściany, bokiem do chłopca, co na krześle sobie wybrał miejsce. Gdule tak się pomieścili, że po miskach wprost nie patrzyli, tylko kątem oka zerkali, jak smakuje. Chłopak rzucił się na jedzenie, ale wcześniej popatrzył po naczyniach i od razu wybrał tam, gdzie barszcz. Kartofli z omastą nie ruszał, widać było, że barszcz mu smakował, nie wiedzieć czemu drugiego nawet nie spróbował.

– Czego kartofli nie je? Barszczem się nie nachlipie! Jedz, dobre, omaszczone. Gospodyni bliżej podsunęła michę i patrzyła, co się stanie, lecz nic się stać nie chciało, chłopak dalej łapczywie połykał barszcz, innego nie chciał ruszać. Gdulowa zachęcała do jedzenia, z drugiej strony zachodziła w głowę: „czego dzieciak kartofli nie tknie?”. W końcu nie wytrzymała i podeszła do niewdzięcznika, zerknęła w naczynie, czy nie brudne? Czy mucha nie wpadła albo co innego? Nic takiego nie znalazła. Chłopiec przestraszył się przeglądania i jeszcze szybciej barszcz zaczął siorbać.

– Miska czysta. Tobie tak się jeść chce, że ty kartofli nie ruszył! Próbuj chociaż! Barszczem się nie najesz, napijesz tylko. Może tobie do barszczu wsypać? I tak jedzo – chciała wrzucić, ale zobaczyła, że głodny rękami zupę nakrył, dając znaki, że to je, co mu smakuje, drugiego nie chce. – A jedz, co chcesz, widno taki ty głodny – zeżliła się nie na żarty, nie lubiła marudzenia na swoje gotowanie jak każda gospodyni. Słowa Anieli przeczyły temu, co się przy stole działo, zupa znikwała w takim pośpiechu, że i chłopu ciężko byłoby dorównać.

– Jemu coś nie bardzo te kartofli. Dziwne je, może od małego nie lubi albo co? Mówisz niegłodny? Mnie się widzi, że on i garczek przechylili, tylko z kartoflami się zaparł. Daj jemu pajdę chleba z masłem, bo mało będzie – powiedział do żony i na potwierdzenie słów pokiwał głową. Chłopak od razu na krześle się podniósł i oczami podziękował, że Jan trafił we wszystko, o czym teraz marzył.

– Angielski jaki? Kartofli jego kłujo? Chleba mu rób! No, niech i tak będzie, ja zobacze, czy on zje tego chleba, takich cudów jeszcze nie widziała – odtrącenie z omastą jedzenia nie dawało Anieli spokoju. Dziwne było dla niej przyzwyczajenie, niepojęte. Z tego wszystkiego poszła do kuchni kroić, sama ciekawa, co dalej będzie. Przyniosła sporą pajdę, grubo posmarowaną masłem i posypaną solą. Chłopiec wziął chleb prosto z ręki i pokiwał dwa razy czupryną, co miało znaczyć, że więcej niż bardzo dziękuje.

– A widzisz, głodny i nie przykrzy na jedzenie. Kartofli czegoś nie lubi i tyle jego, może za to, że całe, niepoduszone. Pewnie z miasta je, w mieście tak się barszczu nie je – jak majster od gotowania zauważył Jan.

– Ino jak? Jak nie tak? – zezłościła się Aniela.

– A tak, że do barszczu krojo jak w inne zupę – Jan mówił swoje, Aniela się denerwowała, że jej, gospodyni, chłop objaśnia, jak gotować.

– Kucharka się naszła, może i on ze samego Lwowa być, a miskę z barszczem zastawił, jak mu chciała kartofli rzucić – przypomniała niedawne wydarzenie.

– Bo niekrojone byli – ledwie Gdula powiedział, już poznał, że ten raz za dużo mu się wyrwało, że nie ma się czego przy swoim upierać. Wystarczyło za wszystkie słowa jedno spojrzenie Anieli. Zrozumiał, że zbytecznie drażnić żonę, sam widział, że trudno zgadnąć, jaka przyczyna w tym odtrącaniu jedzenia. Chłopiec prawie nie słyszał rozmowy gospodarzy, głód przeganiał i nic więcej go nie obchodziło. Zjadł barszcz do ostatniej kropli i gdy kończył, Gdule zobaczyły następne cuda. Dzieciak miskę nie na siebie, tylko od siebie wychylał, mimo dziwactwa tak sprawnie łyżką machał, że bez trudu się uporał z resztką na dnie. Skończył, odsunął naczynie i wziął się za ostatni kawałek chleba, wtedy Jan poprosił Anielę o drugą pajdę i kubek ciepłego mleka, bo nie masz grzechu większego, niż dziecko głodnym zostawić. Sam w tym czasie powynosił ze stołu, żeby nie wyglądało, że tylko rozkazy wydaje.

Gdule w kuchni szeptem radzili, co dalej robić. Głódny sierota, przy ostatnich kęsach chleba i łykach mleka, w końcu poczuł się syty, ale i tak połknął wszystko do ostatniego okruszka. Podniósł się, zaniósł kubek do kuchni i postawił gdzie inne brudne naczynia. Obyczaje gospodarzy podpatrzył i tak się za jedzenie z opieką odwdzięczał. Grzeczny uczynek takie samo dał zadowolenie Anieli i Janowi. Popatrzyli po sobie zgodnie, oczami przyznali, że dobrze się chłopak sprawuje. Grzeczny i posłuszny jak rzadko który.

– Pomacaj wodę, czy ciepła? – Aniela zawołała na męża i zrazu dostała odpowiedź, jak tylko chłop włożył palec do wody.

– Nie całkiem gorąca, ale po mojemu będzie, tylko zimnej nie potrzebno dolewać. Wody po sam brzeg, starczy jaka je. Potem świeże się nastawi – powiedział spokojnie.

– Jak tak, lej co je, a beczke w drugie izbę się poniesie.

Jan zrobił, jak nakazała żona – razem wynieśli balię do drugiego pomieszczenia. Aniela jeszcze raz sama macała, jaka woda; gdy zobaczyła, że wszystko w porządku, wróciła za mydłem i czym do wytarcia.

– Coś trza do ubrania uszykować – przytomnie wspomniął Gdula.

– Ta czego za mną polazł, idź, poszukaj jemu jakie koszuli... i spodni. Pokąd co, tak się trza ratować – skarciła męża za próżne gadanie. Gdy Jan się sprawił z zadaniem, zaraz Aniela nakazała brudnemu się rozbiierać i wchodzić do wody po szyję. Przedtem przymknęła drzwi i sama wyszła przykazując jak trzeba:

– Porozbierasz się, łachmany za drzwi rzuć.

Chwili nie trwało i przesiąknięte smrodem ubranie wyleciało przez uchylone drzwi. Aniela bez namysłu zaniosiła smród do sieni. Za drzwiami chlupało i chlustało, chłopiec szorował się od stóp do głów, Gdule cierpliwie czekały, aż skończy. Wcale im nie zależało, żeby się szybko wymył, lepiej niech się szoruje, jak Pan Bóg przykazał. Siedzieli w milczeniu i nasłuchiwali, co się za drzwiami dzieje, a po dużej izbie się rozglądali, każde w swoje kąty.

Dom Gdulów poskładany z kilku części i każda miała swoje domowe imię. Dużą izbę, w której pomieścić musiało się wszystko, nazwano prosto – izbą. A w niej wielki piec, jakiego we wsi całej nie było, niby taki, jak gdzie indziej stały, ale na inną modłę zrobiony, bardziej z niemiecka. Przy piecu ogrzać się można, wyspać, coś ugotować, upiec chleb

i w osobnej komorze trzymać ciepłą wodę – to właśnie było inne niż wszędzie. Gdzie piec, stały i wisiały rozmaite drewniane półki i półeczki, ozdobione naczyniami, do tego stół i przy stole ława, po bokach dwa krzesła. W tym miejscu Aniela trzymała też do gotowania potrzebne narzędzia: maślnicę, chochle, garnki, kociołki i niecki do chlebowego ciasta. Wszystko razem nazywało się kuchnią i choć z pozoru zdawać się może, że w pomieszczeniu nic do siebie nie pasowało, potrzebną było całością i od reszty oddzielało przy garczku robotę. Co w kuchni stoi, wszystko ma być i na swoim miejscu, tak mówiła Aniela, gdy Jan gubił się w jej porządkach. Reszta i dalej od pieca zajęta przez drugie sprzęty. Duży stół pośrodku izby, jeśli patrzeć na długość, na szerokość bliżej okna. Do stołu dosunięte dwie ławy, czasem Aniela dostawiała krzesła z kuchni, jak przychodzili ważniejsi goście. Na podłodze nie było desek, o takim luksusie myślała Aniela, ale na glinianym klepisku skończyły się marzenia i tak we wsi wszystkie po chałupach mieli. Przy ścianach stały łóżka z pierzynami, po jednym dla każdego. Nie przez to, że małżeństwo skłócone, tylko z wygody – każde wolało się wyspać po swojemu. Jedno z tych dziwactw, co to różniło Gdulów od wsi, gdzie wszyscy żyli po normalnemu, co najczęściej markotnie znaczyło. Bliżej stołu niż pieca wisiała naftowa lampa; zwyczajnie po chałupach lampę stawiono na stole. Aniela uparła się, by u nich było jak w mieście, gdzie z prądem lampy świeciły pod powałą. Jan psioczył na takie głupoty, w końcu, zmęczony żony gadaniem, zgodził się i przywiesił, gdzie nakazano. Zgodził się i dlatego, że Aniela przyzwoliła na ścienny zegar, który Gdula wypatrzył jednego razu na targu, w czasie, gdy we młynie zarabiał. Choć zegar popsuty był, Jan kupił go za pół ceny, a z pomocą kowala tyle się udało oporządzić mechanizm, że jako tako godzinę pokazywał. Podniszczony był, można powiedzieć paskudny, tak Aniela mówiła, ale nie to dla Gduli ważne. Wszystkiemu, co miało trybiki i się poruszało, poświęcał wiele uwagi, nazywał to wszystko mechanizacją. Mógł przy zegarze siedzieć i dłubać całymi dniami, aż po nocę, zwłaszcza zimą, kiedy nic lepszego do roboty nie było. Zegar, wisząca lampa, piec z ciepłą wodą, razem takie rzeczy, jakich we wsi nie było i do Gdulów pasowały, bo one też od wsi różne.

Tak wyglądało najważniejsze miejsce w domu Anieli, który Janowi często zdarzało się chałupą nazywać, jak drugą izbę – drugą chałupą.

Z większej do mniejszej przejść się dało, a tam wszystkie drogie rzeczy, za drzwiami z haczykiem, zamykano. Dobrze schowane cztery porcelanowe talerze, co je Aniela uprosiła u męża jeszcze przed wojną i jak tylko się poženili. Do talerzy, żeby pasowało, cztery filiżanki całkiem z innego kompletu, jednak tak samo dla Gdulowej piękne. W trzydrzwiowej szafie ze świątecznymi ubraniami chowano skromne pieniądze. Ubrania wisiały nie jak we wsi, po skrzyniach rzucone, ale i skrzyni w Gdulów nie brakowało, w niej drobiazgi, chusty, obrusy, korale. Większe cuda wedle potrzeby poskładane, niektóre Jan przestawiał co rusz i złościł Anielę. Przesuwał kołowrotek, co się w nim dawno wrzeczono nie kręciło, bo za nim inna niezdatna mechanizacja, pozytywką nazwana, albo inaczej – grająca skrzynką. Na ścianach święte obrazy kupione od tych, które chodziły po wsi, monidło młodych, rzecz tak samo święta, wszak na całe życie i przed Bogiem małżeństwo przysięga. Druga chałupa była nieużywaną tajemnicą – odświętna izba, odmykana, gdy wyjątkowa nadarzała się okazja. Nikt tam nie mieszkał i ciągiem nie przesiadywał, częściej przechodził, bo stąd schodami na strych się idzie, gdzie mąka, słonina, cebula i kasze rozmaite. Za ostatnią część domu, chociaż pierwszą za koleją, gdy od wejścia liczyć, była sień. Duża, bo w niej ogrom rzeczy: miski, balie, długa solidna ława, beczka z kiszoną kapustą, wiadra z czystą wodą i z brudami, wszystko tak poukładane, że nie przeszkadzało sobie. Każdy kąć miał swoje zadanie i bezpieczną odległość z innymi rzeczami. Wiadra na brudy z dala od beczki z kapustą, miski, balie, czysta woda razem po drugiej stronie. W sieni był porządek, niczym nie śmierdziało, ani nawet kiszoną kapustą, beczka zawsze szczelnie zakryta. Czuć było świeżą glinę, którą gospodyni zaciągała podłogę, i wapno na wybielonych przez gospodarza ścianach. Na sieni dom się kończył, stąd drzwiami wchodziło się do stajni złączonej z chałupą. Dobytku niewiele, jedna kobyła Baśka, krowa, parę świń, kilkanaście gęsi i kury porozsadzane na grzędach.

I to już wszystko, cała chałupa Jana i cały dom Anieli widziany od środka. Na zewnątrz obejście niczym się nie różniło od innej wiejskiej zagrody, może tym, że zawsze posprzątane dookoła i ściany wybielone co drugi rok. Gdula takie terminy uważał za zbyteczne dziwactwo i tylko dla spokoju bielił. Dalej od domu, na obszernym podwórzu, stała studnia, obok niej kierat do młócenia – taki we wsi był tylko jeden.

Dookoła roślo kilka starych drzew i świeżo zaszczepione, owocowe jeszcze patyczki. Zaraz przy gospodarstwie leżał większy kawałek ornego pola, więcej jak dwie morgi, podzielone na dwa mniejsze kawałki. Na zmianę sadzono ziemniaki i siano żyto, mąki i kartofli w domu zabraknąć nie mogło. Ziemia rodziła jak żadna, nie tylko dla tej jednej wsi, ale jak okiem sięgnąć: wszędzie czarna i urodzajna. Pola Gdule mieli więcej, ale co najbardziej potrzebne, chcieli mieć blisko domu. W bok od zagonów Jan postawił dużą stodołę, gdzie chowano słomę i siano dla zwierząt, a czasami porąbane szczapy, gdy się nie pomieściło na swoim miejscu przy chałupie. W całym obejściu dla Anieli najważniejsze pole, tu miała swój kawałek z warzywami i kwiatami. Dla Jana święta stodoła, gdzie psuł i naprawiał, co wpadło i wypadało z rąk.

Bez słowa oboje siedzieli, patrząc po wszystkich kątach i przez okno na podwórze, ale i ucha do drugiej izby przykładali, bo i dłużyć się zaczynało. Z czekania i milczenia pierwsza wyrwała się Aniela:

– Tera gadaj, co z nim myślisz robić? – spojrzała na męża i czekała na akuratną odpowiedź. Gdula nie zdążył słowa powiedzieć, w tym samym czasie gruchnęło za drzwiami nieludzko. Przez to, że Aniela bliżej siedziała, pierwsza się zerwała patrzeć, jak się stało. Wśliznęła się przez zasłonę i za chwilę krzykiem wołała:

– O Jezu! Janek! Jezu!

Gdula był już w pół drogi, jak żona krzyczała, gdy dotarł na miejsce. Chłopak stał nagi, zwrócony bokiem, ale cały był i nie widać, żeby mu się co działo.

– Ta czego się rozdarła?! Nic jemu nie je, cały przecie. Poszportał się? – spytał chłopca, ale z zamiarem uspokojenia wszystkich. Żadnego spokoju słowa Jana nie zrobiły, Aniela stała jak wryta z rękoma przy twarzy, w końcu obróciła chłopca i wykrztusiła z siebie dwa słowa:

– Taki cały! Kogo ty do domu sprowadził?! Matko jedyna, matko jedyna! – lamentowała. Kobieta obróciła chłopca, żeby go lepiej zobaczyć nagiego, w pełnej męskości, która na chrześcijańską nie wyglądała.

– O psia go mać była! – z osłupienia tyle tylko Gdula z siebie wydo był i pewnie nawet nie poczuł, że bluźni przy dziecku.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen. Ojcie Nasz, któryś jest między niewiastami... – nagi i przestraszony chłopiec odnalazł w sobie słowa. Pierwszy raz się odezwał, widząc, że stało się, jak najbardziej

przestrzegali rodzice i na tę okoliczność na pamięć wyuczyli usprawiedliwienia. Spamiętał słowa ojca, jak robić, gdy kościelni albo cerkiewni znajdą. Trzeba zaraz pacierz zmówić, wtedy nic mu nie będzie, jeśli pacierza nie powie, sprzedadzą Niemcom. Modlitwę odmówił tak, że kupa śmiechu, gdyby nie zmartwienia nadmiar, na dodatek wszystkiego przeżegnał się lewą ręką. Gdule ledwie widziały pomyłone pacierze, oboje zamurowani na dwa razy. Zobaczyli, z kim mają do czynienia, i zaraz potem usłyszeli pierwsze od chłopca słowa. Wszyscy troje nie umieli się poszukać w tym, co się narobiło. Jak jeden stali z rozdziawionymi gębami i spoglądali na siebie, każdy u każdego szukając wyjścia albo chociaż marnej rady.

Za dłuższą chwilę Aniela zaczęła wycierać chłopca, trzął się z zimna jak osika. Jan podał z siebie spodnie i koszulę, potem chwycił za balię. Zawsze razem z żoną wynosili, teraz nie wiedział, co ze sobą robić i wziął się za byle jaką robotę, wyszedł do sieni. Kobieta pociągnęła chłopca za sobą i posadziła przy dużym stole, sama usiadła naprzeciwko. Oboje ani słowem się nie odezwali, milczenie nie przeszło nawet i wtedy, gdy Gdula się przysiadł na ławie i tak trafił, że po lewej miał żonę, po prawej chłopaka, co oboje na stołkach głowy pozwieszali. Nie było sposobu wyjścia z kąpieli. Nikt nie śmiał zaczynać pierwszy, najwięcej złąkniony z domu przegnany sierota. O dziwo bardziej błądy niż Aniela był Jan i to on się prędzej pozbierał, chociaż nic dobrego nie powiedział, jeszcze dołożył strapienia:

– Za takie u Niemca kula w łeb dla całej chałupy... i chałupę spalo, tyle pewne, kula w łeb. Przecie ja z nim bez całej wieś jak na wesele jechał – żalił się i wyrzucał niedawną głupotę.

– Widział kto we wsi? Co ja tam ciebie bede pytać... Posadził na wozie i jak dziedzica wiózł. Co mieli nie widzieć, tu się wszystko widzi – Aniela mówiła do męża, ale patrzyła na chłopca. Przyglądała się bardzo, świdrowała wzrokiem na wylot. – Po twarzy niepodobny do swoich. Zwyczajny, jak dziecko podobny, żeby nie ubranie, całkiem zwyczajny – dodała na pocieszenie.

– Widzieć, nie widział nikogo. Kto nas zobaczył, nie zgadniesz i nie ma co myśleć, tu ze wszystkim nie ma co myśleć – Gdula tłumaczył sumienie i sam nie wiedział z jakiej przyczyny. Przez cały czas przemawiał sobie, że dziecka w lesie zostawić nie mógł, dopiero potem przyszło

do głowy to jedno: „kula w łeb”. – Temu on nie chciał kartofli jeść, że ze słoniną... – wystrzelił ze swoim odkryciem i zaraz pożałował swoich słów. Rzecz zdawała się więcej niż ciężka, tymczasem Jan bajdurzył o kartoflach.

– Ty całkiem zdurniał? Tera kartofli będzie zaczypiał? Ty nie znasz, co do domu przygnał? Śmierć przygnał! – Gdulowa tak się zeźliła, że nie przebierała po słowach. Chłopcu oczy zaszyły łzami, trząsł się cały, czekał wyroku.

– Trudno, darmo zrobiło się i koniec. Masz ty sumienie jego wygnać, wygnaj, słowa nie powiem, ale samemu tego robił nie bede. Tu moja chałupa, w mojej chałupie ten będzie mieszkał, co ja jego zechce, nie ten, co Niemcowi pasuje – dumnie i sprytnie słowa Jana zaszyły Anielę i pozostawiły bez wyjścia.

– Ja takich mądrych już widziała! Inaczy będziesz gadał, jak ci Szwab karabin do głowy nastawi. Nie wiesz ludzi? Każdy drugiego w łyżce wody utopi. Za byle co zamelduj. Śmierć w domu siedzi i my razem – nie zmieniała gadania, jeszcze dodała gorzkich słów.

– Mnie nie letko gadać i do cmentarza nie śpieszno, tylko nie ma czego gadać. Trza ratować i tyle wszystkiego – Gdula tak samo upierał się przy swoim i tym, że wszystko można powiedzieć, a chłopca z domu wyrzucić się nie da.

– Tobie kto pomógł? Ty nie wiesz, jakie one? One takie do pomocy skore? Lichwa abo karczma, nijakiej prawdziwej roboty. Byle bidnego spić i kraść z niego. Popsute maszynie kto przedał? Znam ja ich zanadto. Na środku drogi umieraj, a przejdzie nad tobo. Komu pomagać? – zrzuciła z siebie wszystkie żale, bała się tego, co się dzieje i nie wiedziała, jak temu zaradzić.

– Sierocie.

– Czego?

– Sierocie trza dopomóc. Jakie one so, takie so, a to dziecko je, nie karczmarz. A i one rozmaite, nie wszystkie złe. Sierota taki sam jak drugie we wsi i takie same życie jemu się należy – szła rozmowa, której Jan pokazywał ścieżkę. Takie zwyczajne gadanie, gdzie jedno z drugim wiedziało, co stać się musi, ale przegadać strach trzeba.

– Ja jemu życia nie zabieram, on mnie zabrać może – odpierała po swojemu.

– On na pewno, że nie! Niemcy, on nie. Pod strachem i tak się żyje, wszystko zabrali i wszystko ich, byle czego zamorduj. Za drzewo bodaj – odpowiedział z żalem.

– Mogli i za drzewo, ale drzewa potrzeba, a ten tu komu potrzebny? – Gdulowa więcej gadała niż myślała, przez głowę jej nie chodziło, żeby chłopca wygonić. Gadaniem próbowała odtrącić strach, nie po to, żeby Jana przekonać, tylko siebie uspokoić. Zerknęła na znajdę łaskawszym okiem, żal jej się zrobiło i trochę wstyd od gorzkich słów.

– Najwiency ten robi, co wiency robi, jak może. Trza jemu ubranie poprawić, tak bedzie odziany, każdy pozna, kto je – Gdula nie czekał, co żona odpowie, poszedł do drugiej chałupy i zaczął po szafie przebierać.

– We wsi widzieli, a jak nie, nagadajo, że widzieli. Trza gadać, że on sierota z wojny, od kuzynów z Przemyśla. Bogu dziękować, chociaż po wierzchu jak swój wygląda, tyle naszego i jego szczęścia – z izby krzyczała Aniela, patrzyła przy tym na dziecko, pół z żalem na jego w chałupie siedzenie, pół z żalem na jego życie. Jan słuchał żony zajęty pracą, co usłyszał, już mu wystarczyło, żeby wiedzieć, że i dla Anieli sierota zostaje w chałupie. Tak samo chłopak zrozumiał, ocierał ukradkiem łzy, jakie mu się od gadania Gdulów w oczach zjawiły.

– Jak cię wołajo? – pytała Aniela.

– Berek – odpowiedź poszła od ręki. Łamał strach, wiedział, że już żartów nie ma, musi z Gdulami zgodnym słowem żyć.

– Jak mówisz? – z drugiej izby przyszedł głos Jana.

– Berek Szulc – chłopiec powiedział wszystko o sobie.

– No, bracie, tak się u nas pisać nie bedziesz. Za to jedno Bogu i Niemcom dziękuj, że pogańskie zatracisz imię. Tak na konia wołać, na człowieka nie uchodzi. Dobre nie Szmul, ale i Berek nie lepsze. Byś przy obcych nigdy nie spominał, wszystkie zabijo za jednego Berka – surowo Jan powiedział, ale i żartów nie było. Nie ze wszystkim chłopcu się podobało, jednak rozumiał, że imię musi mieć inne, bo za te, co ma, życie można oddać.

– Bedzie Jerzy, Jurek znaczy się, jak dziadkowi było. Dziadek szczęściem żył bez całe życie, wojnę przeżył i tobie pomoże... – Aniela nie skończyła, żeby czego złego nie przywołać.

– Pójdź Anielka, ubranie gotowe! A ty do nas wujek i ciotka bedziesz wołał. Wujek Jan, ciotka Anielka. Spamiętaj i byś się nie mylił. Ty Jurek,

mnie Jan, ciotka Anielka – powtórzył nauczyciel. Tak rodzina Gdulów powiększyła się o nowego w chałupie, któremu odtąd Jurek było na imię, a długo później Gdula na nazwisko.

4

Prawie miesiąc Jurek gościł w chałupie, z każdym dniem czując się pewniej. Gdule obgadali, że z sierotą kryć się nie będą. Zawsze byli widziani za ludzi szczerych i uczciwych, to ich cały dorobek. Chłopak przed ludźmi był dalszym krewnym, swojakiem i pobożnym, tak mieli go pokazać i tak on miał o sobie mówić. Aniela obszyła ubranie Jana, że Jurek lepiej wyglądał jak każde inne wiejskie dziecko. Do Gdulów rzadko kto zachodził, nie mieli we wsi bliskich krewnych, oboje nie znosili wioskowych plotek, dlatego za gościnnych nikt ich nie uważał. Nie byli odludkami, tylko w życiu wsi udziału nie brali, trzymali się tak, jak mieszkali – na skraju. Chłopiec uczył się wiejskiego i chrześcijańskiego życia prawie że w lot. Wiedział, że tylko tak może ocalić skórę sobie i swoim zbawicielom. Wszystko sprawiło, że z pozoru nierozumne pokazywanie sieroty jak swojego miało ręce i nogi, co więcej, zdawało się najlepszym postępowaniem. Gdule poznawali się z przeszłym życiem chłopca, on starał się dorównać obyczajom gospodarzy i tak mijały kolejne dni, nie przynosząc żadnych wielkich niespodzianek. Po robocie i jedzeniu powiększona rodzina często siadała przy dużym stole i rozmawiała o tym, co było potrzebne lub ciekawe.

– A twoi rodzice gdzie so? Kto byli? Ty gadasz nie jak dziecko, ale jak uczoney jaki – Jurek usłyszał od Gdulowej komplement z pytaniem do kupy.

– Niemcy wyprowadzili naszą rodzinę do nowej dzielnicy, tylko siostra pojechała do Ameryki, jeszcze przed wojną. Dla niej starczyło pieniędzy – z radością opowiadał, ale zaraz posmutniał, bo gorzkie powiedział słowa.

– A kto był twój ojciec i matka? – dopytała Aniela.

– Tata jest lekarzem, mama uczy gry na pianinie, tylko w domu, nie w szkole – wytłumaczył, ile zdołał.